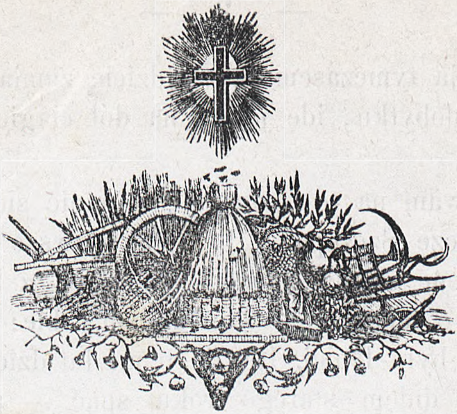
Tom XVI. Nr. 1.

1. stycznia 1867.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

NOWY ROK.

Było to w sam dzień nowego roku. Po nabożeństwie wracali do swych chat dwaj sąsiedzi, Szczepan i Stanisław. Idąc życzyli sobie najpierw serdecznie nowego roku a potem poczęli gawędzić z sobą.

— Nowy rok! Now yrok! — rzecze Stanisław — każdy się nim cieszy, każdy się lepszego spodziewa, a tu tymczasem inna wola Boża! Żyję już lat czterdzieści, toć i czterdzieści nowych roków przeżyłem, a jak zapamiętam, to zawsze mówiono: „Ot może lepiej będzie z tym Nowym rokiem!“ — a tymczasem bieda była po staremu.

— Prawda i to, mój sąsiedzie — mówi na to Szczepan — ale jak dla kogo. Ja myślę sobie zawsze, że byle człowiek chciał szczerze, z każdym Nowym rokiem lepiej mu się dziać powinno.

— Ej co też mówicie sąsiedzie, toć gdyby to prawda, tobym był teraz już bogaczem i szczęśliwym człowiekiem, bo już chwała Bogu na własnem gospodarstwie ośmnaście nowych lat

przebyłem, a ja tymczasem jak widzicie zamiast się wzmagać w szczęściu i dobytku, idę jakby na dół ciągle, bo ciągle mi gorzej i ciężej.

— A ja wam na to opowiem, co mnie się samemu przydarzyło — rzecze Szczepan. I ja tak zawsze mówiłem, i ja ciągle skarżyłem się na biedę. Więc też z każdym rokiem prosiłem Boga o lepszą dolę i myślałem sobie: Ot może będzie lepiej! Ale nie było lepiej. Będzie temu lat dziesięć, położyłem się z ostatnim dniem starego roku spać — ale sen mi nie przychodził na powieki. Myślałem o własnej biedzie i ciężko mi było na sercu. Byłem biedny, w chacie były pustki, w oborze także, w kieszeni ani grosza. I począłem rozmyślać nad biedną dolą moją i łzy mi się zakręciły w oczach. Jak tu rok nowy przeżyć, jak go poprawić, aby nie był taki, jak stary? I wtedy mi przyszły słowa na myśl, które raz słyszałem od jednego pobożnego kapłana, że jeżli człek sam zmieni się na lepsze w człowieka nowego, to i rok nowy będzie nowy i lepszy. Myślę więc sobie: „żyjesz po staremu, a chcesz mieć rok nowy i lepszy!“ Więc począłem sam myśleć i gadać o sobie, tak jakby o zupełnie obcym człowieku. I oto przekonałem się, że sam najwięcej byłem winien mojej biedzie.

— Gospodarstwo moje liche, ziemia nie dobrze uprawiona — rzekłem sam do siebie.

I oto zaraz mi przyszła na myśl moja własna wina i sam sobie odpowiedziałem:

— A czyś dbał dobrze o to gospodarstwo? Ileżeś to dni zmarnował niepotrzebnie, ileż to razy nie chciało ci się robić, ileż to razy oddawałeś się lenistwu! Więc trzeba to zmienić, byłeś leniwym w starym roku, bądź pracowitym w nowym.

Potem przyszło mi na myśl, że niema grosza w domu i niema czem rozpocząć nowego roku. I znowu myślałem nad sobą i przekonałem się, że byłem nieoszczędny, że niejeden grosz marnie i bez pożytku przetrwoniłem. Rzekłem więc sam do siebie:

— Byłem nieoszczędnym z starym rokiem, będę więc oszczędnym z nowym.

I tak dalej myślałem nad sobą i zawsze dochodziłem, że mojej biedy pierwszą przyczyną byłem ja sam. Tym sposobem przekonałem się, że aby nowy rok był lepszy, trzeba aby się sam człowiek odnowił w umyśle i sercu swojem i był także lepszy.

— Co to wszystko znaczy — odezwał się na to Stanisław — jeżli Bóg człeka nie błogosławi w niczem!

— A pewnie że nic nie znaczy bez błogosławieństwa Boga — mówi na to Szczepan — ani praca, ani oszczędność, ani żadne zabiegi. Ale w tym właśnie ludzie błądzą najwięcej, że nie rozumieją dobrze, co potrzebne od Boga, a co sami zrobić powinni. Bóg nikogo nie uszczęśliwi, jeżeli człowiek sam się o szczęście nie stara i na powodzenie nie zasługuje. A w czemże chcesz, żeby ci Bóg błogosławił? Czy w lenistwie, czy w niezgodzie, czy w ciemnocie, albo czy może w pijaństwie? Bądź pracowity, trzeźwy, cnotliwy i wtedy proś Boga aby ci błogosławił. Zarabiaj sam swoją głową i własną siłą na byt dobry, a Boga proś tylko, aby cię świętą swoją opieką wspierał i strzegł od nieszczęść takich, których uniknienie nie od ciebie zależy. Żądaj od Boga tego, czego sam sobie uczynić nie zdołasz — a co leży w twej sile własnej, to czyń z własnej siły, bo Bóg cię na to z rozumem i wolą stworzył i opieką swoją nie będzie czuwał nad nikim, co ręki i głowy do dzieła przyłożyć nie chce.

Tak mówił Szczepan a Stanisław zamyślał się mocno i rzekł:

— Ha może to i prawda, będę i ja tak robił!

Otoż widzicie, tym Stanisławem byłem ja, co wam teraz to opowiadam. Wziąłem sobie słowa Szczepana do serca i począłem robić według jego rady. Poprawiłem siebie — i oto poprawił się dla mnie i rok. Stałem się całkiem nowym człowiekiem i miałem też prawdziwy Nowy rok.

Dzisiaj już stary Szczepan nie żyje — ale jego słowa w mojem sercu żyją zawsze. Dziś wam powtarzam moją rozmowę z nim, bo wiem, że ja przez tę rozmowę przyszedłem do opamiętania i teraz już na biedę się nie skarżę, bo ją pracą zwyciężyłem. A Bóg pracy nigdy błogosławieństwa nie odmówi.

*

Od tego czasu każdemu, co się na zły rok skarzy i po Nowym roku lepszej doli się spodziewa, mówię to samo, co mi niegdyś stary Szczepan mówił. Tak też i na ten Nowy rok takie wam słowa piszę:

Niech ten Nowy rok

1867

będzie nowym rokiem pracy i pilności.

Niech będzie nowym rokiem trzeźwości.

Niech będzie nowym rokiem cnoty.

Niech będzie nowym rokiem oświaty.

Niech będzie nowym rokiem miłości i zgody.

Niech będzie nowym rokiem oszczędności.

A wtedy będzie ten rok także

Nowym rokiem szczęścia,

którego wszystkim życzę z serca.

Stanisław z pod Krosna.

Stach kosynier na warcie.

Ułożył Teofil Lenartowicz.

Na około las poszyty
Głuchusieńki, cichuteńki,
Dzięcioł kuje w suche pieńki,
Kowal pracowity!

Pokrzykują żółny,
Poświstują krasne gile,
A po Narwi mkną oryle,
I retmanów płyną czołny.

A ja stoję pod pagórkiem,
Już na samym skraju lasa,
Czapeczkę mam z pawiem piórkiem,
Korki u obcasa!

Jestem sobie strojny,
Bo wesoło na kraj cały,
Będąż dziewki nas kochały,
Jak się zrobi koniec wojny!

Stoję, słucham, nic nie słyszę,
Słońce jeszcze dobrze świeci,
To wiatr sosną zakolysze,
To gałązka zleci!

A gdzie moja chata?
Kiedy to ja do dom wrócę,
Czy tatusia nie zasmucę,
Na te jego stare lata?

Ojcu, matce zadam biedy,
Siostra woła na wieczerzę,
A ja w polu martwy leżę,
A co będzie wtedy?

Ludzie wiodą pługi,
Szumią nasze sosny duże,
Gada sobie jeden drugi,
Ot i Staśkowe podwórze!

Ej! to rzucę to kosisko,
Straszna mnie ochota bierze,
Siostra woła na wiecerzę,
A wioszczyna blisko.

Nie kuś poganinie,
Nasi siedzą w ciemnym borze,
I Moskal się przywlec może,
I niewinna krew popłynie!

Nie kuś diable stary
Słońce zasło, puszcza głucha,
Złego ducha nie posłucha
Człowiek polskiej wiary!

Zdalekiej dąbrowy,
Jak te brzozki zagajniki,
Czy to krzyczą kruki, sowy,
Czy kozaki rozbójniki?

Na jednego, na dwa, na trzy,
Gdyby przyszli tak na drogę,
I na czterech mi się patrzy,
Na pięciu nie mogę!

Dajże Matko Boska,
Niech tu jeden, dwóch przyjedzie,
Pocieszy się cała wioska,
Jak Staśkowi się powiedzie.

Słońce zaszło w głuchym borze,
Leci, leci kozak stary,
Pod kulbaką ma talary,
Zrabowane w polskim dworze.

Jedzie, jedzie bokiem,
Już przy brzozie, już przy sośnie,
Kosa w ręku rośnie, rośnie,
Stasiek skoczył jednym skokiem.

Brzękło, jękło w lesie,
Poczciwemu się powiodło,
Trup kozacki spadł pod siodło,
Trzos i szablę Stasiek niesie!

Judasz polski.

Niemasz szkaradniejszego występku na świecie nad zdradę. W innych występkach powoduje ludźmi często tylko złość, namiętność, chciwość — w zdradzie są wszystkie djabelskie sztuki zbrodni: i fałsz i obłuda i podłość nikczemna. Hańba to nad wszystkie hańby, podłość nad wszystkie podłości, ta zdrada!

Bóg też srogo karze zdrajców nie tylko na tamtym świecie ale i na ziemi. Zdrajca nigdzie między ludźmi nie znajdzie spokoju, bo wszyscy brzydzić się nim i pogardzać będą, nawet ci, którzy go do zdrady przekupili. Plugawe sumienie zdrajcy nie znajdzie nigdzie pociechy i spokoju, wszędzie będzie gonił za nim straszny upior jego zbrodni. Ów straszny zdrajca Judasz,

co zaprzedał Zbawiciela naszego za trzydzieści srebrników, i pocałunkiem wydał go na srogie męki i śmierć na krzyżu — obwiesił się potem wraz z swojemi pieniądzmi, i sromotnem samobójstwem zakończył swe podłe życie.

I nasza ojczyzna, Polska, miała swoich zdrajców Judaszów, którzy ją zdradzili i zaprzedali w ręce nieprzyjaciół i wrzucili ją w niewolę. Pierwszym z tych zdrajców okrutnych był pewien pan, nazwiskiem Adam Poniński. On to pierwszy wraz swymi wspólnikami zaprzedał Polskę i wtedy to nastąpił pierwszy rozbiór naszej ojczyzny, kiedy to Moskwa, Prusy i Austrja zabrały po raz pierwszy części naszej ziemi polskiej. Był wtenczas Poniński marszałkiem sejmu, na którym zapadł pierwszy rozbiór Polski, a był nim nie z woli Polaków, ale przez przemoc moskali, którzy go podkupili.

Myślał Poniński, że choć hańbę wieczną na siebie ściągnął, to przecież przynajmniej będzie opływał w złocie i żył w obfitości dostatków. Ale i w tem się zawiódł, bo Bóg straszny zgotował mu koniec. Poniński wziąwszy od wrogów Polski ogromne pieniądze za zdradę, pomnożył jeszcze swe skarby zdzierstwem i rozmaitemi oszustwami. Tym sposobem nazbierał on razem w gotowych pieniądzach miljon dukatów, to jest tysiąc tysięcy dukatów, albo sześć miljonów reńskich. A oprócz tego miał ogromne dobra, wsie i miasta, które blizko sześć miljonów warte były.

Z tym workiem judaszowym wyjechał Poniński za granicę, bo w Polsce ścigała go wszędzie hańba, sromota i przekleństwo Polaków zdradzonych. Nie mógł bawić w Polsce, bo on zaprzedał tę Polskę, matkę swoją. Zabrał więc swoje skarby i pojechał w obce kraje. Ale wszędzie za nim w ślad szła hańba i gniew Boży. Gdziekolwiek przyjechał, wszędzie pogardzali nim cudzoziemcy nawet, Francuzi, Anglicy, Niemcy, jako niegodziwcem. Nigdzie nie miał spokoju, żaden poczciwy cudzoziemiec nie chciał mu podać ręki – nawet moskale sami brzydzili się nim.

Tymczasem i skarby jego poszły marnie. Co djabeł dał, to djabeł na wiatr puścił. Był Poniński jakiś czas za granicą a straciwszy gotówkę wrócił do Polski. Ale tu czekała go

jeszcze inna kara. W Polsce, która jeszcze była wolna, choć jej wprawdzie za zdradę Ponińskiego poodbierali wiele ziemi, był właśnie ów sejm pamiętny i sławny z roku 1790, na którym to dano dla narodu polskiego ową sławną konstytucję z 3 maja. Wówczas ten sejm polski zaczął sądzić zdradę Ponińskiego. Wzięto zdrajcę do więzienia i skazano go na utratę majątku, godności i imienia, na wieczną hańbę. Poniński bojąc się spełnienia wyroku przekupił jakoś swą wartę i uciekł z więzienia przez wykuty otwor w murze, siadł na czółno na Wiśle i chciał zemknąć do Gdańska. Ale oddział wojska polskiego poleciał w tej chwili w pogoń i złapał Ponińskiego na samej granicy.

Zaraz też wykonano wyrok. Wyprowadzono go na publiczne miejsce, zdarto z niego ordery i szaty dygnitarskie, a potem wziął go hycel na swój psi wózek i wywiózł go tak z Warszawy. Tąk ten zdrajca, niegdyś wielki dostojnik korony polskiej i pan ogromny, co dawniej w złoconych jeździł karetach, teraz na hyclowskim wózku jechał wśród hańby okropnej. Na śmierć go nie skazali Polacy, bo cóżby była za kara dla zdrajcy, odebrać mu życie? Dla zdrajcy właśnie największą jest karą zostawić go przy jego plugawem życiu, aby wiecznie ścigała go hańba, aby tem plugawem życiem świadczył sam o swej zbrodni i wreście z rozpaczy sam się powiesił, tak jak Judasz Iskarjota. Ale Poniński nie powiesił się sam — Bóg nie dał mu umrzeć, aby dać na nim przykład, jaki koniec czeka zdrajców.

Wałęsał się po kraju, nie mając nigdzie kąta spokojnego, a gdy lud warszawski podczas powstania Kościuszki w roku 1794 wywieszał innych zdrajców na rynku, on potrafił zemknąć znowu. Wrócił dopiero wtedy, kiedy już Polska cała była w niewoli, a w Warszawie stali Prusacy. Wtedy Poniński zeszedł był już na ostatniego dziada i szubrawca. On co dawniej był panem ogromnym, co posiadał nieprzeliczone skarby w złocie i dyamentach, co miał kilkaset wsi swoich, tak zeszedł na nędzę, że chodził za żebranym chlebem po domach. W plugawej nędzy żyjąc, w łachmanach, pił gorzałkę po najnędzniejszych szynkach, a sypiał w karczmie pod ławami żydowskiemi.

Tak żyjąc nędznie chodził jako żywy przykład gniewu Bożego, który każdego zdrajcę czeka. Razu jednego Poniński spity bez opamiętania wpadł w gnój smrodliwy i tam w tym gnoju obrzydłym wyzionął swoją podłą duszę.

Tak to Bóg zdrajców karze!

Karol M.

Piękne przykłady.

I.

Mikołaj z Cybłowa.

We Lwowie żyje jeden malarz sławny, co się nazywa Franciszek Tepa. Sławny to majster malarski na Polskę całą! Jak namaluje jaki obrazek, to ci się zdaje, że ty nie na obraz patrzysz, jeno na prawdę szczerą. takie to piękne i szykowne, a kiedy kogo na papierze albo na płótnie odmaluje, to ci się widzi, że na żywego człeka patrzysz i czekasz jeno, aby się ruszył.

Otoż ten pan malarz Tepa co roku prawie latem wyjeżdża ze Lwowa na wieś, w rozmaite strony, hen między ludek wiejski, i jak mu się który wieśniak z osoby lub z rozumu i cnoty podoba, to go zaraz namaluje na papier żywcem i wiezie do Lwowa i tu go panom rozmaitym pokazuje. Panom się te obrazki bardzo podobają, kupują je za drogie pieniądze i wieszają w złocistych ramach w swych pokojach.

Tamtego roku jeździł ten pan Tepa także po naszej ziemi i malował różnych ludzi, a namalowawszy dużo obrazków przywiózł z sobą prawdziwe śliczności, przeróżne malunki ludzi wiejskich z stron rozmaitych, z Rusi, z pod Krakowa i hen z pod gór karpackich, z pod naszych Tatr wysokich.

Wiecie pewnie, że w wielkich miastach dużo jest rozmaitego biedactwa, więcej pewno niż po wsiach. Jak nadejdzie zima, to to biedactwo ani w co się obuć, ani co jeść niema, a nawet na polanko drzewa mu nie staje. Otoż ten pan malarz Tepa, który jest bardzo miłosierny człowiek, tak sobie pomyślał:

— Ot chyba ja tak zrobię! Wezmę ja wszystkie moje obrazki i powywieszam w dużej izbie w ratuszu, i ogłoszę

gazetami, aby je ludzie oglądali. Kto będzie chciał oglądnąć, ten zapłaci dziesiątaczka, a te wszystkie dziesiątaczki pójdą na miejskich ubogich i na tych, co się w ostatniem polskiem powstaniu bili z Moskalami i zostali kalekami!

Jak pomyślał tak zrobił a wyraźnie Bóg natchnął tą myślą jego miłosierne serce! Jak się tylko dowiedzieli ludzie, że można oglądać za szóstaczka obrazy pana Tepy, wnet się hurmami cisnęli do ratusza. Sypały się szóstaczki jak groch i ot za lada cztery dni coś ze trzysta reńskich uzbierało się dla ubogich.

Poszedłem i ja do izby ratuszowej, zapłaciłem szóstaczka i oglądałem. Patrzę i patrzę i oczu oderwać nie mogę, takie tu są śliczne rzeczy, bo to na jednym obrazie namalowany jest jako staruszek ten sławny uczony polski Joachim Lelewel, o którym wam niedawno pisaliśmy, dalej znowu jenerał polski, Załuski, co służył jeszcze pod francuzkim cesarzem Napoleonem, a znowu dalej mnóstwo obrazków ludu wiejskiego w rozmaitych ubiorach z rozmaitych okolic, to sędziwych gazdów, to starych matek, to ślicznych urodziwych dziewoji, to chwackich parobczaków, to smukłych górali tatrzańskich!

— Miły Boże! — pomyślałem sobie — jaki też to piękny lud nasz wiejski i jak też to on dzielnie wygląda. Gdyby to odmalować naprzykład chłopa Szwaba, jakby on śmiesznie i niepokaźnie wyglądał przy naszym wieśniaku!

Był tam między temi obrazami także i obraz jednego wieśniaka krakowskiego, staruszka, dawnego wojaka polskiego, co jeszcze się bił za ojczyznę pod panem Kościuszką, a dotąd żyje sobie starowina pod Krakowem i ludziom opowiada o starych dziejach. Pan malarz Tepa umyślnie jeździł aż pod Kraków, aby odmalować tego starego kościuszkowskiego wojaka, a jeden hrabia lwowski zaraz sobie ten obrazek kupił za drogie pieniądze!

Aż mi się łzy z oczu puściły, kiedym się patrzył na obraz tego wojaka, bo to mi się zaraz przypomniał i pan naczelnik Kościuszko, i waleczny Bartek Głowacki, i chłopi kosyniery, co tak pokropili Moskali pod Racławicami! I powtórzyłem sobie piosenkę:

Nieprzywrócić co minęło, mój ty mocny Boże,
Pług przeorał ludzkie kości, a serca nie może!

Kiedym tak oglądał te prześliczne obrazki, wpadł mi także w oko obraz jednego wieśniaka ruskiego w słomianym kapeluszu, z torbą przez plecy, z krzyżykiem na piersiach, z kijem pielgrzymim w ręku i z kluczem u pasa. Przypatruję się ciekawie temu obrazkowi i zaraz poznaję, że to jakiś niezwykły wieśniak, bo mu to z twarzy pobożnej i mądrej już tak patrzało — ale nie mogłem się domyśleć, coby to był za jeden.

W tem na moje szczęście wchodzi do sali i sam pan malarz Tepa i wita się ze mną grzecznie, jak to już jego zwyczaj, że choćby i z najmizerniejszym chudziną, to zawsze uprzejmy i serdeczny. Ja też zaraz chwytam go za rękę i pytam:

— Panie mistrzu Franciszku, a kto też jest ten wieśniak z poważną twarzą i kluczem przy pasie, co go tu na tym obrazku namalowaliście?

A pan Franciszek Tepa na to:

— To jest sławny na całą swoją okolicę Mikołaj z Cybłowa.

— A co to za jeden, ten Mikołaj z Cybłowa? — pytam ja dalej.

— O! to cała historja z tym Mikołajem! — rzecze mi pan Franciszek — i począł mi opowiadać, a ja wam to wszystko tu powtarzam.

Niedaleko Żółkwi, tego miasta gdzie to jest sławny kościoł z grobami królewiczów Sobieskich, leży wioska Cybłów. Otoż w tej wiosce był ten Mikołaj zamożnym gospodarzem. Miał gruntu dosyć i chudoby — ale niedostawało mu cnoty i statku. Ożenił się, ale z żoną nie żył zgodnie i przykładnie; zawsze były kłótnie, zawsze bitki i obraza Boska. Przytem Mikołaj pił gorzałkę ogromnie, hulał dniem i nocą, a gospodarstwa nie pilnował. Nie dziw tedy, że mienie jego poszło marnie na pastwę żydów. Wkrótce umarła Mikołajowi i żona. Mikołaj już jako wdowiec hulał i próżnował dalej, aż stracił majątek do reszty. Ale na tem nie koniec; Mikołaj nabawił się choroby ciężkiej i obrzydliwej, tak, że mu się ciało psuć poczęło.

Straszna teraz była dola Mikołaja. Bez grosza, bez zdrowia, opuszczony był całkiem, bo ludzie stronili od niego i nikt mu dobrego słowa nawet nie dał. Tymczasem Mikołaj zapadał na zdrowiu coraz bardziej, a choć się ratował jak mógł, nic mu to nie pomagało. Lekarze w mieście mówili mu już nawet, że nigdy do zdrowia nie wróci.

W tym opłakanym stanie począł Mikołaj rozmyślać nad sobą. Przypomniały mu się nauki religijne, że Bóg nieraz zséla na grzeszników cierpienia i nieszczęścia straszne, aby się poprawili i wstąpili na drogę lepszego żywota. Wszedł w siebie Mikołaj, skruszyło mu się serce, począł żałować swojej rozpusty i gorszącego życia i począł modlić się gorąco do Boga, ślubując, że jeżli żyć dłużej będzie, to całe życie poświęci służbie Bożej i cnotliwym uczynkom.

Bóg nie opuszcza nikogo, nawet największych grzeszników, skoro się nawrócą i szczerze żałują — więc też i Mikołaja nie opuścił. Za pomocą Bożą ozdrowiał Mikołaj z niemocy i nabrał sił nowych. Z wdzięczności dla Stwórcy poprawił się Mikołaj zupełnie i jak to św. Paweł mówi, oblókł się zupełnie w nowego człowieka. Nikt go już teraz nie poznał. Z hulaki zrobił się człowiek poważny, z pijaka i rozpustnika pobożny chrześcianin.

Odtąd Mikołaj począł żyć cnotliwie i zupełnie oddał się religji. A odkąd zaczął rozmyślać nad sobą i poprawiać swe serce, dusza i umysł rozjaśniły mu się i oto począł składać rozmaite pieśni nabożne z własnej głowy i temi pieśniami czcił Wszechmocnego. Mnóstwo on takich pobożnych pieśni sam poskładał i wszędzie po dworach pańskich i chatach wieśniaczych głosił ludziom ku zbudowaniu i nauce.

Chodząc od wsi do wsi, od dworu do dworu, zbierał Mikołaj datki i postanowił z tych datków postawić kaplicę. I dopóty zbierał i zbierał, choć sam z czego żyć nie miał, aż uzbierał tyle, że wymurował w Cybłowie kaplicę prześliczną. Kiedy już tego dokazał, to znowu o głodzie i chłodzie zbierał dalej grosz do grosza od pobożnych ludzi, aby tę swoją kapliczkę ustroić i ozdobić pięknie i szykownie. Więc też zakupił piękne obrazy i światło, i lichtarze, i krucyfix, a wszystko to ze składek i jałmużny.

Kaplica ta jest zawsze pod opieką Mikołaja a on klucz od niej nosi przy sobie. Pamięta zaś o niej ciągle i w każdą niedzielę i w każde święto nanosi Mikołaj kwiatów do swej kapliczki i pozapala światło i sam się w niej modli i ludzie i podróżni mają gdzie westchnąć do Boga. Żyje ten Mikołaj ciągle i chodzi wszędy po okolicy i składa pieśni nabożne, a wszędzie mu radzi, bo jak dawniej, kiedy był rozpustnikiem i pijakiem, każdy nim pogardzał, tak teraz znowu każdy go szanuje i czci i kocha, jako człowieka cnotliwego i pobożnego. I sławny też on jest z swej pobożności na okolicę całą.

Zawsze on opowiada swoją historję ku nauce i przestrodze drugich i powiada, jaki to on był nędzarz dawniej, póki się nie poprawił, jak go gryzło sumienie, jaki był nieszczęśliwy okrutnie, a teraz kiedy się z Bogiem pojednał i cnotliwie żyje, jest szczęśliwy i wesoły, żadna go troska nie zasmuci i żadne mu cierpienie nie dolega.

Takto każdemu grzesznikowi otwartą jest droga do poprawy i szczęścia. Każdy grzesznik, choćby najzatwardzialszy, ma w życiu takie chwile, kiedy mu się sumienie odzywa, a cała sztuka w tem, aby zaraz usłuchać sumienia i pójść za jego głosem. Oby wszyscy pijacy, zdrożnicy i lekkomyślni ludzie szli za przykładem Mikołaja z Cybłowa!

Wojtek ze Smolnicy.

II.

Wierny sługa.

Pamiętnym jest w historji naszego kraju rok 1683, kiedy Jan Sobieski król polski na czele trzydziesto-tysięcznego dobranego rycerstwa, podążył na odsiecz miasta Wiednia, oblężonego przez Turków.

Do tej rycerskiej wyprawy biegła z ochotą młodzież, jednoczyła się sercem jakby dzieci z ojcem, z ukochanym swoim królem, i spieszyła z obroną w sprawie uciśnionych chrześcian.

Pomiędzy ochotnikami znajdował się także młody książę Lubomirski, mając obok siebie sługę, Pawła Kostrzewskiego.

Kostrzewski pożegnawszy żonę i troje małych dziatek, z chęcią podążył za swoim panem, wypełniając najsumienniej obowiązki sługi, kuchmistrza a nawet koniuszego i na krok nie odstępując księcia.

Nadszedł dzień bitwy. Książę Lubomirski, wówczas chorąży, na czele swojego pułku już w kilku bitwach odznaczył się mężnie, i dziś oczekiwał tylko hasła do boju, a obok niego stał tuż na swym koniu Paweł Kostrzewski.

Pół godziny nie upłynęło, gdy przybył król — powitał rycerzy jak ojciec swoje dzieci i zawołał: Bracia najprzód Bogu cześć, a potem rękę z szablą naprzód — musimy dzisiaj zakończyć te matackie tańce i wracać do siebie.

— Niech żyje król nasz! — ozwał się głos trzydziestotysięcznego rycerstwa jakby z jednej piersi wydobyty, i za chwilę dano znak do boju.

Zagrały trąby, szykują się roty, wzniosły się piasku tumany od pędzących na koniach rycerzy — wnet powstała bitwa: szczęk szabel, świst kul, huk dział, jęki rannych i ginących z obu stron. Wijące się dymy gęstemi kłęby zasłoniły słońce, co w purpurowym odblasku drgało światłem, przezierając czasem z poza domów białych.

Zacięta była walka przez kilka godzin — wiele odznaczających się męztwem poległo, a jeszcze zwycięztwo na żadną nie przechylało się stronę. Młody książę Lubomirski spostrzegłszy jakiś groźny nacisk, zagrzany męztwem krzyknął: za mną wiara! Uderzyli rycerze, rozbili wprawdzie nieprzebyty mur ustawiony z wrogów, połamali porządek, lecz Lubomirski nie mogąc powstrzymać rozpędzonego konia, wpadł sam jeden w środek tysięcy nieprzyjaciół; ze wszech stron oskoczony, torując sobie mieczem drogę i ratując życie, utracił konia i byłby nieochybnie śmierć poniósł. Lecz w tej chwili wierny koniuszy Paweł Kostrzewski choć w zamięszaniu ogólnem i przy ciągłej uwijatyce z Turkami, ujrzawszy księcia w niebezpieczeństwie, wpadł między wrogów, dostał się aż do Lubomirskiego, a zeskoczywszy z swego konia, dając go księciu, zawołał: Na koń i dalej do swoich mości książę, a ja tu miejsce twoje zastąpię!

Z rozrzewnieniem spojrzał Lubomirski na wiernego koniuszego, i odrzekł: nie przyjmuję od ciebie tej ofiary; masz żonę i dzieci, żyj dla nich.

— Na Boga książę zaklinam cię, nie trać ani chwili czasu; ja spełniam powinność serca, wdzięczność tylko! — i domawiając tych słów, porwał w pół księcia, wsadził na koń, dając bodźca biegunowi. Koń rozdrażniony, tęskniący do swoich, dzielny, jakby czuł, że niesie rycerza użytecznego ojczyźnie, poleciał jak strzała i Lubomirski wśród okrzyków towarzyszy i swego pułku wrócił od nieprzyjacioł, otrzymawszy zaledwie kilka cięć pałaszowych.

Choć przywitany serdecznie tysiącznemi okrzykami, nie czuł się jednak szczęśliwym tyle, jak należało. Na młodzieńczem jego obliczu malowała się jakby boleść, że przyjął poświęcenie wiernego sługi, mającego żonę i dzieci.

Bitwa z południem się skończyła; widocznie Bóg spojrzał na walczących za wiarę i swobodę uciśnionych, uczynił ich zwycięzcami i oswobodzicielami Wiednia. Z radością też wszystek naród biegl na powitanie króla i jego rycerzy, zdawało się, że miasto Wiedeń nowo odrodziło się i wzrosło życiem pełnem wiary i nadziei. Najznakomitsze dziewice słały kwiaty po drodze jadącym zwycięzcom. Szczęście było zbyt wielkie, bo Turków w połowie na miazgę pobito, reszta pierzchła, a nie żądano nawet nagrody za tę pomoc prawdziwie chrześciańską.

Gdy tak dzwonią pieśni dziękczynne i wesele powszechne, jeden tylko książę Lubomirski, pomimo że otrzymał stopień dowódzcy za odwagę, nie mógł się pojednać z tą wesołością ogólną, bo myślał ciągle o Pawle Kostrzewskim, dowiadywał się o nim wszędzie, ale daremnie. Wierny koniuszy poniósł śmierć, która jego pana spotkać miała.

Za powrotem rycerzy z pod Wiednia, książę Lubomirski uwiadomił żonę i dzieci o śmierci Pawła Kostrzewskiego, udarował ich sowitą nagrodą, która podniosła rodzinę zmarłego do dobrego bytu i zamożności, a stawiając na cmentarzu w swej parafji pomnik Pawłowi Kostrzewskiemu, umieścił na nim napis:

Książę Lubomirski
Przyjacielowi wiernemu,
Pawłowi Kostrzewskiemu,
Co poniósł śmierć za niego, pod Wiedniem w r. 1683,
Stawię tę z serca Pamiątkę.

Po upływie wielu lat, gdy książę Lubomirski, starzec sędziwy, otoczony liczną rodziną opowiadał często swoją wyprawę pod Wiedniem, z łzą w oku wspominał zawsze Pawła Kostrzewskiego, mówiąc:

— Wierny sługa jest najlepszym przyjacielem w każdej potrzebie; doznałem tego na moim Pawle Kostrzewskim!

A potem?

Większa połowa ludzi na świecie nie troszczy się nigdy o jutro, jeno żyje z dnia na dzień. Nie myślą, co ich czeka na przyszłość, a tem mniej, co ich czeka po śmierci, byle tylko życie spędzić wesoło i wygodnie. Są tacy ludzie, którzy zapominają, że życie nie jest wieczne i że przyjdzie chwila, w której trzeba się będzie pożegnać z tym światem. Tacy ludzie zawsze o wszystko dbają, co do ziemskiego życia należy, ale nie troszczą się o wieczność i o duszę swą nieśmiertelną. A tymczasem śmierć ich zaskoczy nieprzygotowanych i schodzą z tej ziemi bez cnót, bez Boga, bez dobrych uczynków.

W pewnem mieście żyło uczciwe małżeństwo, które miało syna jedynaka. Ten syn był już studentem w wyższych szkołach i uczył się bardzo pilnie i dobrze. Ale rodziców to nie ze wszystkiem cieszyło, bo widzieli, że syn ich myśli tylko o honorach i dostojeństwach, że popada w wielką dumę i dla mocnego honoru zapomina o Bogu, o miłosierdziu i o obowiązkach chrześcijańskich.

Dowiedział się o tem proboszcz tego miasteczka, pobożny i cnotliwy kapłan staruszek i razu jednego zaprosił do siebie hardego studenta na rozmowę.

— Co teraz czynić zamyślasz? — zapytał go pleban staruszek.

— Ukończę szkoły — odpowieda student.

— A potem? — pyta dalej kapłan.

— Potem wstąpię do urzędu.

— A potem?

— Potem będę zadziwiał ludzi moim rozumem i zdolnościami i pozyskam sobie sławę.

— A potem?

— Potem dadzą mi wysoki urząd i będę wielkim panem i dostojnikiem.

— A potem?

— Potem zebrawszy honory i pieniądze będę żył spokojnie i wygodnie w starości.

— A potem? — pyta dalej kapłan.

— Potem.. potem — począł się jąkać student — potem umrę.

— A potem?

Młodzieniec nic na to odpowiedzieć nie umiał, ale to słowo „a potem" przejęło go do głębi serca. Zamyślił się i pojął, że człowiek nie tylko o byt doczesny ale i wieczny dbać powinien i że ani nauka ani zaszczyty nie powinny człowieka wzbijać w dumę. Od tego czasu poprawił się ów student — uczył się tak pilnie jak wprzódy, ale serce jego było skromniejsze i pobożniejsze. Nie żałował też tego, bo go w życiu nie minęły ani zaszczyty ani szczęście prawdziwe.

Przypowieści.

Niechaj cudze cierpienie śmiechu nie wywodzi.
Chcesz li komu dopomódz, niechaj chęć nie zwleka,
Wszak wiesz, że nieszczęście jedną drogą chodzi,
Co jego dziś spotkało, ciebie jutro czeka.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.